

Spadające ceny są *antidotum* na deflację

Autor: George Reisman

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: Zuzanna Śleszyńska

Dramatycznym błędem — zarówno laików, jak i profesjonalnych ekonomistów — jest wiara w to, że spadające ceny oznaczają deflację, i dlatego powinno się ich obawiać oraz w miarę możliwości unikać.

Artykuł na pierwszej stronie dziennika „The New York Times” z

1. listopada 2008 r. to typowy przykład tego błędu:



Podczas gdy wiele krajów coraz bardziej pogrąża się w kryzysie, pojawia się nowe zagrożenie w amerykańskiej gospodarce — perspektywa, że dobra będą piętrzyć się, czekając na nabywców, a ceny będą spadać, hamując napływ inwestycji i zwiększając bezrobocie na miesiące, a nawet lata. Słowem opisującym te zjawiska jest deflacja lub obniżanie cen — termin, który przyprawia ekonomistów o dreszcze.

Deflacja towarzyszyła kryzysowi lat 30. Stale spadające ceny były także sednem tzw. straconej dekady w Japonii, po katastrofalnym pęknięciu bańki nieruchomości pod koniec lat 80. Niektórzy eksperci porównują tamten okres do dzisiejszych problemów finansowych Ameryki.

W przeciwieństwie do tego, co twierdzą dziennikarze „The Times” i wiele innych osób, deflacja to nie spadające ceny, ale spadek ilości pieniądza i/lub wysokości wydatków w systemie gospodarczym. Innymi słowy, deflacja to ogólny

spadek popytu. Spadające ceny są konsekwencją deflacji, a nie samym zjawiskiem.

Niezależnie od deflacji, spadające ceny są również konsekwencją wzrostu produkcji i podaży dóbr, co jest główną cechą rozwoju gospodarczego i poprawienia standardu życia. W takich okolicznościach spadającym cenom nie towarzyszy żaden spadek przychodów lub zysków przedsiębiorstw, zwiększona trudność w spłacaniu długów ani wzrost bankructw. Wszystkie te zjawiska są jedynie skutkiem deflacji, a *nie* spadających cen.

Oczywiście przy pełnym standardzie złota spadające ceny, spowodowane zwiększoną produkcją, towarzyszą zwykle nieznacznym wzrostom stopy zwrotu i większą łatwością w spłacaniu długów. Oba zjawiska są spowodowane wzrostem produkcji i podaży złota, a więc także zbywania złota. W standardzie złota ceny spadają do tego stopnia, że wzrost produkcji oraz podaży dóbr i usług przewyższa wzrost produkcji i podaży złota oraz następującego wzrostu wydatków wyrażonego w złocie.

To musi być pewnie niespodzianka dla „The Times” oraz dla tych, którzy nie rozumieją istoty deflacji. Należy zauważyć, że spadające ceny nie tylko nie są deflacją, ale tak naprawdę są *antidotum* na deflację. To one pozwalają systemowi gospodarczemu dotkniętemu deflacją na wyjście z tej sytuacji i cieszenie się rozwojem gospodarczym.

Ten wniosek może być przedstawiony zgodnie z metodą Sokratesa — przez postawienie prostego pytania, na które odpowiedziałby uczeń podstawówki.

Wyobraźmy sobie, że przed kryzysem finansowym Bill robił zakupy raz w tygodniu w lokalnym supermarkecie. Na zakup wody przeznaczał 10 USD. Przy cenie 1 USD za butelkę, mógł kupić 10 butelek. Teraz, w czasie kryzysu, Bill może wydać na wodę jedynie 5 USD.

Oto pytanie: Ile musiałaby kosztować butelka wody, aby Bill mógł za 5 USD nabyć 10 butelek, za które płacił 10 USD? *Odpowiedź:* 50 centów.

Pytanie i odpowiedź wyjaśniają, że: *spadek cen pozwala, by za zmniejszone fundusze przeznaczone na wydatki, kupić taką samą ilość dóbr, za którą wcześniej trzeba było zapłacić więcej.*

Ta zasada ma także zastosowanie, kiedy niższe ceny nie skutkują wyższymi wydatkami na konkretny produkt, którego cena spadła. Przypuśćmy, że 4 litry mleka zamiast 8 USD kosztują 4 USD. Jednak Bill i jego rodzina nie

potrzebują więcej niż 4 litry mleka na tydzień i nie będą kupować go więcej, tylko dlatego, że kosztuje mniej. Niższa cena mleka pomaga przywrócić dobrą koniunkturę gospodarczą. Dzieje się tak przez uwolnienie 4 USD Billa, który może przeznaczyć je na inne wydatki, których chciałby dokonać, ale z powodu braku funduszy nie mógł sobie na nie pozwolić.

Podobnym przykładem będzie spadek cen benzyny lub oleju opałowego, który pomaga w zwiększeniu siły nabywczej obywateli.

Deflacja, będąc przeciwieństwem spadających cen, jest procesem spadku podaży pieniądza. W obecnym kryzysie spadek przyjął postać ograniczenia akcji kredytowej i wydatków zależnych od kredytu. Obniżka cen i spadek zarobków są środkami niezbędnymi do przystosowania się i przewyciężenia deflacji.

Jednakże, ciągle mylenie spadających cen z deflacją stoi na przeszkodzie powrotu do dobrej koniunktury. Przyjmując, że spadające ceny są deflacją, a nie skutkiem deflacji, a zarazem lekiem na nią, ludzie będą mylić rozwiązanie problemu z samym problemem, który należy rozwiązać.

Na bazie powyższego pomieszania pojęć popiera się interwencje rządu przeciwdziałające spadkom cen. Te spadki cen, przed którymi chce się nas uchronić, dotyczą cen domów, produktów rolnych i innych dóbr, a przede wszystkim wysokości płac. Jeżeli te wysiłki się powiodą, a ceny nie spadną, efektem będzie zatrzymanie naprawy gospodarczej. Obniżone wydatki, odzwierciedlone przez deflację, nie są w stanie pokryć zakupu większej ilości dóbr i usług, co byłoby możliwe jedynie przy niższych cenach i zarobkach.

Tak jak spadające ceny nie tylko nie są deflacją, lecz lekiem na nią, podobnie przeciwdziałanie spadkom cen jest tak odległe od przeciwdziałania deflacji, że wręcz ją jeszcze pogłębia. Dzieje się tak, ponieważ ludzie odkładają wydatki na później — nawet wtedy, gdy nie musieliby tego robić. Wierzą, że zakupy w przyszłości będą bardziej opłacalne, kiedy to ceny i zarobki spadną do poziomu potrzebnego do rozpoczęcia naprawy gospodarczej.

Kiedy nadejdzie ta obniżka cen i zarobków, na pewno nastąpi wzrost wydatków w systemie gospodarczym. Ludzie ograniczający wcześniej wydatki, w momencie wystąpienia takiej obniżki będą wydawać pieniądze. Dlatego też niezbędny spadek cen i zarobków doprowadzi do naprawy gospodarczej poprzez wytworzenie większej siły nabywczej za mniejsze środki. Skutkiem będzie także częściowe przywrócenie poziomu wydatków, a co za tym idzie koniec deflacji.

Stopień, w jakim spadają ceny i zarobki w celu odbudowy gospodarczej, zależy od zmiany, jaka zaszła w tym, co Mises nazywa „relacją pieniężną”. Jest to stosunek podaży pieniądza do popytu na pieniądź.

Podczas boomu inflacja i ekspansja kredytowa zwiększają podaż pieniądza, obniżając jednocześnie popyt na pieniądź. W następnej fazie cyklu koniunkturalnego — recesji — popyt na pieniądź wzrasta, a podaż pieniądza może spaść. Oba czynniki powodują spadek w wydatkach w systemie gospodarczym, co generuje potrzebę odpowiednio niższych płac i cen, aby powrócić do dobrej koniunktury.

Jak daleko mogą zajść te procesy w obecnych warunkach i co może być zrobione, aby je zmienić, będąc w zgodzie z zasadą wolności gospodarczej? To pytanie jest zbyt skomplikowane, aby odpowiedzieć na nie w jednym artykule¹. Jednak, muszę przyznać, że można przeciwdziałać spadkowi ilości pieniądza, co dramatycznie ograniczyłoby skalę spadku wydatków w systemie gospodarczym.

Niezależnie od wysokości wydatków, wspieranych przez zmienioną relację pieniężną, swoboda obniżania płac i cen może doprowadzić do czegoś więcej niż tylko naprawy gospodarczej. Może doprowadzić do tego, że każda gotowa do pracy osoba będzie mogła pracować, czyli do tzw. pełnego zatrudnienia. Mogłoby się tak stać bez obniżania realnych płac statystycznego pracownika w systemie gospodarczym, a wręcz iść w parze ze znacznym wzrostem tych płac. Niestety ten temat jest również zbyt szeroki, aby omawiać go w tym artykule.

Pakiety pomocowe

Zanim zakończę, muszę napisać kilka słów o dzisiejszych wysiłkach rządu, mających na celu pokonanie kryzysu przy pomocy pakietów pomocowych i finansowania z deficytu budżetowego. Te wysiłki mają zniwelować skutki wzrostu w popycie na pieniądź przez duży wzrost podaży pieniądza. Wydaje się, że rząd stara się jedynie przezwyciężyć istniejący kryzys, nie myśląc o tym, że te działania napędzają kolejną recesję.

Rząd ma dzisiaj nieograniczone możliwości tworzenia pieniądza. Jest więc bardzo prawdopodobne — zważywszy na jego chęć do skorzystania z tych możliwości oraz ogromnego przyzwolenia społecznego — że spowodowany wzrost podaży pieniądza będzie wyższy od wzrostu popytu na gotówkę. Kiedy tak się

stanie, przychody oraz zyski przedsiębiorstw wzrosną, a z nimi zatrudnienie i płace, a popyt na pieniądź znowu zacznie spadać.

W tym przypadku duży wzrost ilości pieniądza, do którego dąży rząd, spowoduje znaczny wzrost cen i da początek nowemu kryzysowi. Tym razem, kryzysowi inflacyjnemu. Wtedy rząd będzie musiał zacząć walczyć z inflacją lub pogodzić się z tym, że amerykańska gospodarka przypomina system gospodarczy krajów Ameryki Łacińskiej. Jeżeli rząd szybko zdecyduje się na pierwszą opcję, znajdziemy się w sytuacji podobnej do tej z lat osiemdziesiątych, i trzeba będzie przejść przez proces kurczenia się gospodarki. Prawdopodobnie wtedy będzie to proces na większą skalę niż byłby dzisiaj, z powodu niedokończonych działań związanych z terażniejszym kryzysem.

Jeżeli rząd będzie zwlekał z walką z inflacją, to wtedy, kiedy się na to wreszcie zdecyduje, może stanąć przed widmem cen wzrastających tak szybko, jak lata temu w Ameryce Łacińskiej. Będzie musiał również zmierzyć się z bardzo wysokim poziomem bezrobocia, który towarzyszy walce z wysoką inflacją. W tamtym okresie w Ameryce Łacińskiej ceny wzrastały w tempie 20, 30 lub 50% i więcej, a poziom bezrobocia był równie wysoki. (Aby zrozumieć, jak coś takiego może się wydarzyć, trzeba wyobrazić sobie wzrost wydatków i cen o 50% na rok. W takim przypadku rząd, aby walczyć z inflacją, zmniejsza wydatki do 15%. Jeżeli wzrost płac i cen działa na zasadzie bezwładności, w takim stopniu, że osiągnie 40%, będzie to skutkowało spadkiem produkcji i zatrudnienia do poziomu równego 1,15/1,4, co oznacza spadek o około 18%. W krótkim okresie bezrobociu będzie sprzyjać władza przekazana związkom zawodowym, które wykorzystają ją do podwyższenia płac, nawet w obliczu masowego bezrobocia. Taka sytuacja miała miejsce w 1932 r. podczas wielkiego kryzysu.)

Oczywiście, zważając na gotowość do rozszerzania władzy rządu do walki z krótkotrwałym kryzysem, możliwe jest, że rząd wprowadzi kontrole płac i cen, aby walczyć ze skutkami inflacji. Kiedy te kontrole zostaną usunięte, znowu pojawi się kryzys wzrastających cen, po którym nastąpi albo pogłębienie inflacji, albo znaczne zaciskanie pasa. Jeżeli nie usunie się kontroli cenowych, system gospodarczy zostanie sparaliżowany i zniszczony.

Nasuwa się konkluzja, że nie ma dobrego sposobu wyjścia z tego kryzysu innego niż środkami wolnorynkowymi, tj. przez spadek płac i cen, możliwie załagodzony środkami zgodnymi z zasadą wolności gospodarczej. Potrzebne jest

rozwiązanie, które raz na zawsze zakończy cykl koniunkturalny inflacji i ekspansji kredytowej, skutkującej deflacją i kurczeniem się gospodarki. Jedynym rozwiązaniem jest wolny rynek, a dokładniej rynek bardziej wolny od tego, który mieliśmy dotychczas.

Wolność i odbudowa gospodarcza wymagają, aby ceny i płace mogły swobodnie spadać oraz tego, aby jakiekolwiek prawne przeszkody tego procesu zostały zniesione. Aby tak się stało, ludzie muszą zrozumieć, że spadające ceny nie są deflacją, ale antidotum na nią.

Postscriptum: Muszę zwrócić uwagę na dwa problemy, których nie mogłem opisać w głównej części mojego artykułu. Jeden dotyczy efektu ewentualnego spadku cen przy odłożeniu wydatków na później. Takie odroczenie odnosi się jedynie do przypadku, kiedy spadek cen następuje po obniżeniu popytu, a nie wzrostu produkcji i podaży. Jeżeli ceny nie spadają, popyt dalej się obniża, tak jak to pokazałem.

Jednak, możliwość spadających cen w wyniku zwiększonej produkcji i podaży niekoniecznie łączy się z odłożeniem zakupów na później. Dzieje się tak, ponieważ w tym przypadku ewentualny spadek cen nie jest wynikiem ani pomniejszenia się wydatków, ani mniejszej podaży pieniądza. Ewentualny spadek cen oznacza wzrost siły nabywczej wszystkich nagromadzonych oszczędności oraz przyszłego dochodu. Tym sposobem proces rozwoju gospodarczego zwiastuje lepszą sytuację finansową w przyszłości. Skutkiem tego jest umożliwienie ludziom większej konsumpcji teraz. To równoważny zysk z czekania na niższe ceny w przyszłości. Innymi słowy, spadające ceny spowodowane wzrostem produkcji i podaży są neutralne w skutkach relacji między obecnymi wydatkami na konsumpcję a oszczędzaniem na konsumpcję w przyszłości.

Drugim problemem, na który trzeba zwrócić uwagę, są ceny domów. Często uważa się, że spadające ceny domów są odpowiedzialne za problemy banków oraz że długotrwale spadki cen domów muszą skutkować jeszcze większymi problemami, a więc należy je zatrzymać.

Spadki cen domów nie są odpowiedzialne za problemy banków bardziej niż spadki cen przestarzałych samochodów. Fakt, że właściciele domów są zadłużeni na więcej, niż są one warte, nie ma związku z niespłaconymi kredytami hipotecznymi — tak samo wiele lub większość samochodów kupionych na kredyt

jest warta mniej niż niespłacona część kredytu. Wyjechanie nowym samochodem z salonu samochodowego wystarczy, aby cena sprzedaży była niższa od wartości kredytu zaciągniętego na ten samochód.

To nie wartość rynkowa domów lub samochodów prowadzi do niespłacania kredytów — zarówno hipotecznych, jak i tych na samochód. Przyczyną jest niemożność lub niechęć pożyczkobiorców do wywiązywania się ze swoich finansowych zobowiązań.

Tylko lata inflacji i ekspansji kredytowej mogłyby zmusić ludzi do postrzegania swoich domów jako inwestycji. W rzeczywistości, dom jest dobrem konsumpcyjnym, tak samo jak samochód czy lodówka. Jedyną różnicą jest fakt, że amortyzacja zachodzi wolniej w przypadku domu. Jedynie z powodu wieloletniej inflacji — następującej szybciej niż amortyzacja domów — ich ceny wzrastały każdego roku, a ludzie uznali, że domy będą dobrym źródłem dochodów. Gdyby nie inflacja i wynikający z niej wzrost cen, byłoby jasne, że dom jest nieopłacalnym aktywem, wolno tracącym na wartości, ale mimo wszystko nieopłacalnym.

Ceny nowych domów nie wzrastałyby gdyby nie inflacja. Możliwe, że nawet spadałyby z roku na rok. W dodatku, cena pięcio-, dziesięcio-, czy dwudziestoletniego domu byłaby znacznie niższa niż cena nowego domu. Dlatego też nawet stałe ceny nowych domów, nie mówiąc już o spadających cenach, sugerują, że cena domu z czasem spada. To jest normalna sytuacja, sytuacja przy braku inflacji.

Ekspansja kredytowa ostatnich lat oraz następujący gwałtowny wzrost cen domów spowodował, że, przez chwilę, kupno domów w celu ich szybkiej odsprzedaży wydawało się opłacalne. Wydawało się także, że ludzie mogą skorzystać ze wzrostu wartości swoich domów przez zaciąganie kredytów pod zastaw. Szaleństwo bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości doprowadziło do tego, że w szczytowym momencie średnia cena domu była tak wysoka, że na zakup mogli pozwolić sobie tylko ci, którzy należeli do 15% najlepiej zarabiających.

Nie ma potrzeby sztucznego utrzymywania wysokich cen domów i ratowania pożyczkobiorców i pożyczkodawców, którzy są za to odpowiedzialni. Co więcej, taka próba będzie utrwałać przekonanie, że sytuacja pożyczkodawców nie jest najlepsza i nie można liczyć na to, że wywiążą się ze swoich finansowych

zobowiązań. Zanim przywrócimy normalność systemu finansowego, banki i inne instytucje finansowe muszą przyznać się do nieściągalnych kredytów i uznać je za stracone.

Spadek cen domów musi trwać dalej. Średnia cena domu jest wciąż znacząco wyższa od średnich zarobków. Wezwanie do stabilizacji cen nieruchomości oznacza chęć interwencji rządu w imieniu nieodpowiedzialnych pożyczkodawców i pożyczkobiorców — a wszystko to za pieniądze podatników.

Uwolnienie rynku mieszkaniowego od rządowej ingerencji obniży wysokość kredytów hipotecznych potrzebnych do zakupu domów i będzie skutkowało niższymi cenami domów. Jeżeli dom zostanie sprzedany za 500 tys. USD, zamiast za 1 mln USD, lub za 140 tys. USD, zamiast za 200 tys., wtedy wymagana wysokość finansowania za pomocą kredytów hipotecznych będzie niższa, a rynek mieszkaniowy dostosuje się do obniżonej podaży kredytu.

¹ Temat omówiony jest szerzej w książce autora pt. *Capitalism: A Treatise on Economics*, s. 959-962.